

Adam Ziemianin

STASZAK, BIMBER I MUNDUROWI

Któregoś dnia znowu go nakryli. Na myśl o zmarnowanym zacierze, a zwłaszcza o kilkunastu flaszkach bimbrow, Staszaka zaczęło ssać ze złości. Żona, choć niezbyt zgrabna, dziś przy kuchni poruszała się jak baletnica. Wiadomo chłop zły, a tu jeszcze karę przyjdzie zapłacić. Chciała, żeby chłop coś zjadł, ale on kota butem trącił, bo właśnie mu się na nogę nawinał. Taka była jego odpowiedź. Kot uciekł z piskiem, a potem w kuchni ucichło. Tylko budzik gderał i gderał monotonicznie, a Staszak myślał i myślał.

Znowu zabrali mu rurki i kocioł. Wiedział, że bimber, pędzony przez niego, najlepszy był w okolicy. To on zaopatrywał po cichu wszelkie wesela i chrzciny, a nawet stypy, bo wtedy też się pije. Zresztą nie tylko w swoim miasteczku. Domyślał się, że przez Adamca go nakryli, bo on wszędzie nos wciskał.

Gościńcem, wśród kałuż, szły dzieci ze szkoły, wesole i rozkrzyczane. Tornistry z tektury podskakiwały na drobnych jeszcze ramionach. Zobaczył wśród nich syna Adamca. Nagle coś go poderwało, lecz szybko usiadł, bo pomyślał, że przecież dziecko niczemu nie jest winne. Pocisnęło go na pęcherz, wyszedł więc z domu i złość odeszła. Pewnie z moczem to poszło w parze.

Od sprawy z bimbrem minęło trochę czasu. Mieścina powoli zapominała o tym wydarzeniu, ale nie Staszak. Nie o wstyd mu szło, bo i czego się wstydić, kiedy się pędzi dobry bimber, lecz o straty. Robotą w gospodarstwie zajął się jakoś bez serca. Żona tylko wyczuwała, że mąż coś knuje. I miała rację, bo Staszak myślał i myślał, aż coś wymyślił.

Już od rana kazał swej ślubnej butelki wszystkie znosić. Ta aż do sąsiadów chodzić musiała, bo mu wciąż było mało. Płakała pod nosem, gdyż bała się, że znów nieszczęście na dom się zwali, ale puste flaszki znosiła. U Lisowca pięć nawet dostała, bo imieniny były u nich w rodzinie. Sąsiad uśmiechał się, gdy twierdziła, że na sok malinowy są jej potrzebne. Uzbierało się ze dwadzieścia flaszek, co Staszakowi całkiem wystarczyło.

Do pracy przystąpił następnego dnia, zaraz o świcie. Żona też wstała, choć wcale tego nie pragnął. Zebrane butelki, bez uprzedniego mycia, napełniał wodą i korkował. Żona niby swoją pracą zajęta, bez przerwy lypała okiem w jego stronę. Myślała nawet, czy mężowi nie pomieszało się w głowie. Staszak nie zwracał na nią uwagi. Wyszukał świeczkę, zapalił ją i gorącą parafiną kapał na korki.

– O! Lakuje – żona zaczęła płakać.

– Nie becz! – warknął Staszak.

Butelki ułożył w koszu i wyszedł z domu. Żona natychmiast przylgnęła nosem do

szyby, bardziej ze strachu, niż z ciekawości. Mąż skradał się z motyką, łopatą i koszem w stronę sadu. Zatrzymał się pod starą śliwką, która już owoców prawie nie rodziła, i zaczął kopać. Rozglądał się przy tym strachliwie na wszystkie strony. Przeżrana żona znak krzyża świętego czyniła w oknie.

Gdy dołek głęboki był do kolan, Staszak rzucił na dno garstkę siana i ostrożnie zaczął układać butelki. Potem delikatnie zasypywał dziurę, aby nie porozbijać flaszek. Świeże miejsce zamaskował darniną i wrócił do domu. Żona była podenerwowana, na wszelki wypadek siekierę schowała pod szafę, noże też.

Po paru godzinach spokoju, do domu Staszaków zapukali mundurowi: sierżant Kliś, kapral Szczęsny i szeregowy Mlecz. Ci sami, którzy ostatnio zlikwidowali mu bimbronię. Był też z nimi Adamiec, miasteczkowy faryzeusz.

– Co was sprowadza w moje skromne progi? – zapytał Staszak z udawaną pokorą.

– To, co zawsze! Nie udawajcie Greka! – powiedział najważniejszy, czyli sierżant.

– Wyleczymy was z tego! – odgrażał się Szczęsny.

– Z czego?

– Zaraz zobaczycie, z czego! – warknął Mlecz.

– Brać łopatę i z nami! – rozkazał któryś z nich.

– Ja nie mam łopaty – skłamał Staszak.

Sierżant zazgrzytał zębami, wysyłając Mlecza po służbową saperkę, a Adamca dyskretnie zapytał, o które drzewo chodzi. Ten jakby tylko na to czekał. Z rozkoszą wskazał starą śliwkę, rodzącą zaledwie garść owoców.

Wkrótce ujrzeli świeże ślady w ziemi. Nie próbowali nawet nakłaniać Staszaka, żeby kopał, bo wiedzieli, że się nie zgodzi. Sierżant wyznaczył Mlecza do kopania. Ten, dla lepszego skupienia, zdjął czapkę służbową, bo mu przeszkadzała. Wszyscy ujrzeli aureolę odcisniętą na włosach szeregowego, lecz nic sobie nie pomyśleli.

Wreszcie pojawiła się chuda szyjka pierwszej butelki. Mlecz wydobyl ją ostrożnie, podając ją sierżantowi. Otwarciem flaszki zajął się kapral, gdyż miał w tym dużą wprawę. Uderzył w dno i korek wyskoczył na sporą odległość. Połało się trochę płynu, a butelka wróciła do sierżanta. Ten z namaszczeniem pociągnął spory łyk.

– Woda! – odskoczył jak poparzony.

Kapral Szczęsny mocno przyssał się do butelki, gdyż nie uwierzył sierżantowi.

– Niech szlag trafi! To przecież woda!

Szeregowy Mlecz, zmęczony kopaniem, wypił najwięcej, a zawartość flaszki skończył Adamiec.

Jako pierwszy ocknął się sierżant, bo czasu miał najwięcej.

– Przebiegły ten Staszak, na wierzchu butelki z wodą ułożył, zobaczymy, co będzie dalej. Szukać następnych! – zwrócił się do Mlecza, który już grzebał w dołku.

Szczęsny sprytnie wybijał korek za korkiem, choć ręka bolała go coraz bardziej. Z każdej flaszki próbowali po łyku, lecz woda pozostawała wodą, nawet w ostatniej, dwudziestej butelce.

– Kpiny sobie z władzy robicie! – pieklił się sierżant Kliś.

– My was jeszcze poszukamy! – odgrażał się kapral, który po cichu marzył o kilku łykach dobrego bimbru.

– Nie zamydlicie nam oczu wodą! – używał sobie Mlecz. Tylko Adamiec milczał.

– Wy tłumaczycie się na posterunku! – ponowił atak sierżant.

– Teraz chcę się wytłumaczyć, zwłaszcza, że nie mam nic do ukrycia – powiedział ze spokojem Staszak.

I nie czekając na zgodę sierżanta zaczął opowiadać, że w jego rodzinie jest taki zwyczaj, z dziada pradziada przestrzegany, w który on sam już przestał wierzyć, ale żona dalej go przestrzega. Polega on na tym, że zakopuje się wodę pod starym drzewem owocowym. Czyni się to po to, aby śmierć omijała domowników. Nie jest to jednak woda zwyczajna, bo wcześniej umyto nią umrzyka.

Patrzył jak bledną, lecz sadystycznie ciągnął dalej.

– Mnie właśnie ostatnio zmarła teściowa... – chciał mówić dalej, lecz nie było potrzeby, gdyż wszyscy wyjątkowo szybko pojęli, o co chodzi.

Zaraz to zresztą udowodnili, z nawiązką zwracając wypitą wodę. Przez kilka dni ludzi w naszym miasteczku dziwiła trupia bladość miejscowej władzy.

Adam Ziemianin

Pociąg dłużej
zamyślił się
na małej stacji

Być może
chce mu się
wagarów

Ostatni wagon
aż ciągnie do lasu